

---

# Wspomnienia Barbary Krudysz

---

Rocznik Kolbuszowski 5, 59-64

---

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Wspomnienia Barbary Krudysz

**D**o Kolbuszowej przyjechałam w 1938 roku. Rodzice moi wrócili w swe rodzinne strony. Sześćdziesiąt lat temu miałam 15 lat i trud no mi dzisiaj na temat wojny coś powiedzieć. W pamięci zaciera się wiele ważnych faktów, dat i nazwisk. Jednak niektóre przeżycia zapisały się głęboko w świadomości i stanowią swego rodzaju obrazy.

O wojnie zaczęto już mówić głośno od początku lata 1939 r. Okres wakacji to przygotowania do wojny. Wyglądało to zupełnie inaczej niż późniejsza potrzeba tego wymagała. W szkole - ukończyłam drugą klasę gimnazjum - uczono nas jak obchodzić się z maską gazową. Liczono na to, że w działaniach wojennych użyty będzie gaz. Polecono zabezpieczać domy i mieszkania przez uszczelnianie i zaciemnianie.

Sytuacja z dnia na dzień stawała się bardzo napięta. Ojciec mój, emerytowany oficer Wojska Polskiego został zmobilizowany i z końcem sierpnia wyjechał do jednostki wojskowej do Lwowa. Wtedy to jako prawie dorosła osoba zaczęłam sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji i zrozumiałam, że wojna to coś bardzo poważnego. Pojawiła się we mnie myśl, której wcześniej nie dopuszczałam, że my tej wojny możemy nie wygrać a mój ojciec może nie wrócić.

Przed wyjazdem do wojska ojciec nakazał mojej matce, żeby w żadnym wypadku nie opuszczała Kolbuszowej, aby się z domu nie ruszała. Tylko na okres ewentualnej bitwy o miasto miałyśmy schronić się do dużego, murowanego domu, z dobrymi piwnicami, który znajdował się nad Nilem a zamieszkały był przez mojego stryja z rodziną. Był przekonany i słusznie, że tam będziemy bezpieczniejsi niż w naszym drewnianym domu z małą piwnicą. I rzeczywiście 9 września zgromadziła się tam masa ludzi z okolicznych domów, z którymi spędziłyśmy groźne chwile, gdy trwała walka. Gdy Niemcy zaatakowali całą masę uciekinierów z ówczesnych zachodnich terenów Polski, ze Śląska, z Krakowa dążyła na wschód przechodząc przez Kolbuszowę. Ludzi tych opanowała jakaś psychoza, żeby uciekać przed wojskami niemieckimi. Zostawiali domy, mieszkania, gospodarstwa, cały dobytek idąc, jadąc wózkami, wozami konnymi. Krążyły bowiem pogłoski, że Niemcy będą mordować a mężczyzn brać do wojska. To był błąd. Trudno powiedzieć teraz kto rozpoczął taką akcję i z czyjej wyszła inicjatywy. Na szczęście wrzesień był ciepły, ale ludzie ci wiele wycierpieli. Drogi ówczesne nie były kryte asfaltem, unosił się więc nieprawdopodobny kurz. Przez nasz dom przechodziły setki ludzi. Każdy widząc duży dom i duży ogród miał nadzieję, że będzie mógł chwilę się zatrzymać, coś zjeść, napić się i wygodnie odpocząć. Tak też było. Patrzy-

łam z przerażeniem na te osoby zmęczone, zmalretowane, zdeterminowane i wyruszające po chwilowym odpoczynku w dalszą drogę. I wtedy pomyślałam, jak mądry i przewidujący był mój ojciec.

Brat mój z końcem sierpnia wyjechał z Kolbuszowej. Udał się do Lublina do wujostwa. Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego tam miało być bezpieczniej. Wuj - oficer w służbie czynnej - miał zaopiekować się bratem wraz ze swoimi synami. Z jednostką wojskową udali się do Brześcia nad Bugiem. Tam nieoczekiwanie - tego się nikt nie spodziewał i nie przewidywał - zostali zajęci przez wojska sowieckie. Na szczęście chłopców puszczono, wojskowych zatrzymano i wujka już nigdy nie zobaczyliśmy. Napisał list ze Starobielska i to był jedyny i ostatni znak życia od niego. - A jeden z jego synów znalazł się w Majdanku a następnie zginął w Oświęcimiu.

Ponieważ matka moja miała w pamięci słowa ojca zostałyśmy w Kolbuszowej ale gdy Niemcy się zbliżali schroniłyśmy się w domu nad Nilem.

Wielu mężczyzn z Kolbuszowej uciekło do pobliskich lasów, by tam przeczekać jakiś czas. Nikt wówczas nie wiedział jacy Niemcy są, jak zachowują się w stosunku do ludności a w szczególności do mężczyzn. Opuszczenie domów okazało się tragiczne, dotyczyło to także i nas, choć zostawiłyśmy dom tylko na dwa dni. Dobytek z tych domów został skradziony. I to jest bardzo przykre wspomnienie z tego okresu. Ludzie uciekali, chronili swe życie, nad miastem rozlegała się strzelanina, każdego opanowywał strach przed nieznanym, przed wrogiem, a tu rabusie okradają, wynoszą co się da, nie dbając nawet o swe życie. Chęć zdobycia za darmo jest większa. I właśnie z tego domu nad rzeką widziałam i utkwił mi w pamięci obrazek jak w czasie tej bitwy, gdy paliły się domy, słychać było świst pocisków karabinowych i artyleryjskich szli z miasta ludzie dźwigając całe bale tkanin - widocznie ze sklepów. Z naszego domu też zniknęły dywany, pościel i inne przedmioty ukryte w piwnicy. Ktoś potrafił siekierą wyrąbać drzwiczki w szafce sądząc zapewne, że tam znajdzie cenne przedmioty. I mimo to, że dom stał jak dawniej to przykre wspomnienie zostało do dziś i było to dowodem jak wojna wypacza charakter ludzi i żadne zasady moralności nie istnieją. Chęć zdobycia za darmo jest większa niż obawa o własne zdrowie, nawet życie.

Po bitwie, gdy nastał już spokój, matka z ciocią (która uciekła do Kolbuszowej z Wadowic z dwuletnim synkiem) wybrały się do miasta. Dotychczas nie wiedziałyśmy, które domy spłonęły, widać tylko było ogień i dymy unoszące się z wielu miejsc. Zdawało się, że wszystkie zabudowania się palą. Zastanawiałyśmy się, czy nasz „majątek” pozostał. Ale nie było to wówczas istotne. Cieszyłyśmy się, że żyjemy, że przeżyłyśmy ten pierwszy etap wojny.

A więc matka z ciocią przyszły do domu i zastały tam Niemców. Jakiś oficer z krzykiem zwrócił się do matki z zapytaniem, gdzie jest mąż. Myślał że ojciec jest wysokiej rangi oficerem, bo żołnierze znaleźli pamiątkowy

mundur, karabin z I wojny światowej, oraz broń myśliwską i karabinek sportowy. Wszystko to zabrali. Uspokoił się, gdy mama oświadczyła, że ojciec został powołany do wojska i nie wie gdzie się obecnie znajduje. Spytała, czy możemy wrócić do domu. Zezwolili, zajmując dwa pokoje dla oficerów.

Idąc przez miasto widziałam straszne zniszczenia. Całe ulice spalone, jeszcze dymiły zgliszcza domów, rozchodził się wszędzie zapach dymu. I wtedy ujrzałam jeszcze jeden tragiczny obrazek, który pozostał mi przed oczyma do dziś. Na ulicach leżały trupy. Pamiętam Żyda z roztrzaskaną piersią, gdzie indziej leżał żołnierz w polskim mundurze poszarpanym i zakrwawionym i jeszcze kilku zabitych. To był niesamowity widok. I nagle, gdy zobaczyłam ten ogromny obraz zniszczenia, tych zabitych, których nie grzebano przez kilka dni - zrozumiałam, że skończyło się spokojne życie i rozpoczyna się właściwie nowy etap w innych okolicznościach, w innym świecie. I tak wracając do domu przygnębiał nas widok strat i tragedii dookoła ale jednak cieszyliśmy się, że żyjemy.

Po kilkunastu dniach wrócił brat cały i zdrowy, a po kilku tygodniach ojciec. Część żołnierzy jego jednostki przeszła granicę rumuńską, część jednak uważała, że ich miejsce jest w Polsce i powracała do rodzin.

Wojsko niemieckie robiło duże wrażenie. Byłam przyzwyczajona do innego widoku armii. Nasze wojsko przy nich wyglądało mizernie, takie blade i małe. Oni jechali na motorach, w czarnych mundurach, w hełmach. To były te pierwsze oddziały silne, rosłe, mocne. To byli żołnierze młodzi, zdrowi i zawzięci. Wrażenie było piorunujące.

Powoli przyzwyczajaliśmy się do nowej sytuacji, do okupacji. Po niedługim czasie zaczęliśmy odwiedzać rodzinę i znajomych w obawie czy żyją i są zdrowi. W Kolbuszowej miałam babcię i wujostwo. Okazało się, że są zupełnie spaleni. Nie tylko dom ale i zabudowania gospodarcze zniknęły z powierzchni ziemi. To samo spotkało ciotkę i wujka. Zostali bez niczego. Na szczęście po pewnym czasie znaleźli zastępcze mieszkania.

Pierwsze wojska poszły dalej na wschód, a miasto zajęli Niemcy, którzy prowadzili sprawy administracyjne. Ponieważ nasz dom był duży, zawsze w dwóch pokojach mieszkali wojskowi. Nie można powiedzieć, że byli to źli ludzie. To spokojni, normalni obywatele wyrwani ze swojego ustalonego trybu życia i zmuszeni do pójścia na front. Mieszkał u nas wysoki rangą oficer - w cywilu zajmował stanowisko inspektora szkolnego i nie obce mu były sprawy nauki. Matka była nauczycielką i on załatwił jej posadę w szkole. Pracowała kilka miesięcy, potem wszedł nakaz i mężatki zwolniono. Takie zarządzenie obowiązywało w Rzeszy i zastosowano je także na terenach okupowanych.

Wszyscy młodzi ludzie czy to dziewczyny czy chłopcy starali się o jakąkolwiek pracę, gdzieś się zatrudnić, w przeciwnym razie niemiecki urząd pracy wysyłał na roboty do Niemiec lub do obozów. Niezależnie od tego

były tzw. „łapanki”. W ten sposób mój kuzyn, jako młody 15-letni chłopak został złapany, po prostu zabrany z ulicy i wysłany do obozu pracy w Oranienburgu. Na szczęście był zdrowy i silny, uniknął Oświęcimia, wytrzymał i szczęśliwie wrócił po pięciu latach.

Niejednokrotnie podczas okupacji uciekałam przed „łapankami”. Często spałam poza domem, tam gdzie nie było młodzieży, była nadzieja że żandarmi tam nie trafią. Pewnego dnia wpadła do domu ciocia, niekompletnie ubrana, z gołą głową (a był mróz), zdenerwowana i zdyszana krzyknęła: „Baśka uciekaj, idą po ciebie”. Zrzuciłam płaszcz mamy, bo taki był pod ręką i tylnym wyjściem z ogrodu wybiegłam w pola. Rzeczywiście za chwilę wszedł żandarm z naszym znajomym z policji granatowej. Ten wiedząc, gdzie mieszkam i idąc po mnie cały czas myślał jak mi dać znać (mówił mi to wiele lat później). Ponieważ spotkał moją ciotkę spytał ją, gdzie mieszkam, udając, że nie wie. Ona od razu zorientowała się o co chodzi. Biegła polami, krótszą drogą, by zdążyć przed nimi. No i udało się. W ten sposób polscy policjanci granatowi zatrudnieni i pracujący z niemiecką żandarmerią niejednokrotnie pomagali Polakom, choć nieraz było odwrotnie. Wtedy matka powiedziała, że wyjechałam do krewnych. Kilka dni przesiedziałam w domu nie pokazując się na ulicy. Potem postarałam się o pracę. Początkowo zatrudniona byłam w sklepie, a następnie w biurze. W Kolbuszowej działał Polski Komitet Opiekuńczy jako Delegatura Rady Głównej Opiekuńczej w Warszawie. Instytucja ta zajmowała się działalnością charytatywną. W mieście prowadzono tzw. „głodną kuchnię”; wydawano tam posiłki jednorazowe w sali parafialnej. Prócz tego przygotowywano obiady dwudaniowe, ale tych ilość była ograniczona. O ile pamiętam, korzystali z tej stołówki głównie ludzie wysiedleni i uciekinierzy ze wschodnich terenów. W okresie wakacji letnich prowadzono półkolonie z dożywianiem dla dzieci. Prowadziłam tam sprawy biurowe i administracyjne i pomagałam w przygotowaniu i wydawaniu posiłków. I z tą pracą wiąże się miłe i niezatarte wspomnienie. Pracowało tam kilka osób, w tym kobiety. Tam to zaproponowano mi pracę w organizacji tajnej. Byłam wtedy bardzo dumna, że obdarzono mnie zaufaniem i uznano za dorosłą. To był rok 1942. Byłam sanitariuszką, przygotowywano nas na wypadek działań wojennych. Przechodziłyśmy szkolenie wojskowe, sanitarne i udzielanie pierwszej pomocy lekarskiej. Za zadanie miałam również przygotowywanie bandaży i opatrunków. A więc przynosiłam do domu całe rolki gazy, które się odpowiednio cięło i składało oraz pakowało. To było niezbyt bezpieczne, gdyż za drzwiami mieszkał wróg. Musiałam się z tym uporać, gdy jego nie było, wychodził do pracy. W przeciwnym razie mógł wejść do pokoju i gdyby zastał mnie przy tej robocie, na pewno byłoby po mnie. Wtedy jednak nie zastanawiałam się bardzo nad tym, nie czułam strachu.

Nigdy z koleżankami nie rozmawiałam o sprawach konspiracji. Rodzice też długo nie wiedzieli. Dopiero po wojnie i to wtedy, kiedy można było mówić o AK - dowiedziałam się o wielu osobach należących do Ruchu

Oporu. W czasie tych trudnych chwili okupacyjnych była wśród ludzi niewiarygodna solidarność. Każdy odczuwał dołę drugiego, zdawał sobie sprawę, że może spotkać go tragedia i będzie potrzebował pomocy.

W tym to okresie przeżyłam wraz z rodziną jeszcze jedno przykre wydarzenie. Otóż gazeta niemiecka „Krakauer Zeitung” opublikowała listę zidentyfikowanych zamordowanych oficerów polskich w Katyniu. Jakież było nasze przerażenie, gdy wśród wielu nazwisk wypisanych tłustym drukiem na pierwszej stronie widniały dwa nazwiska oficerów pracujących z ojcem i równocześnie jego przyjaciół. Jak się okazało później cała jednostka wojskowa, w której służył ojciec ewakuowana była na wschód i tam zajęta przez wojska radzieckie i wykończona w Katyniu. Mogłam sobie tylko wyobrazić co czuł ojciec. Zawsze był niezadowolony, że za wcześnie wysłano go w stan spoczynku, że za wcześnie skończył służbę w wojsku, a to właśnie uratowało mu życie.

Osobny rozdział w moich przeżyciach wojennych to tajne nauczanie. Początkowo cieszył nas wolny czas - jesień 1939 r. Nie chodziło się do szkoły. To było coś nowego, ciekawego. Niemcy pozwolili tylko na otworenie szkół podstawowych i zawodowych. Czas wolny nie trwał jednak długo. Nasi pedagodzy z gimnazjum i liceum zaczęli werbować młodzież i powstały tajne komplety. Profesorowie traktowali nas inaczej jak przed „wojną”. Stali się dla nas przyjaciółmi, niemalże kolegami. A i my - mając za sobą straszne przeżycia - traktowaliśmy tę naukę inaczej. Lekcje takie to były wspaniałe, niezapomniane chwile. Niezależnie od przerabiania na tajnych kompletach materiału ze szkoły średniej, uczęszczaliśmy do handlowej szkoły zawodowej, oficjalnej, gdzie wykłady były prowadzone przez zespół tych samych pedagogów. Szkoła była dwuletnia, otrzymaliśmy świadectwa w języku niemieckim. Nauka tajna odbywała się w różnych miejscach: u profesorów lub w domach prywatnych. Pewnego dnia przeżyliśmy chwile grozy. Wtedy - właściwie po raz pierwszy w okresie okupacji - odczułam prawdziwy strach. Było nas wówczas pięcioro u profesora. Była lekcja łaciny. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Profesor wyjrzał przez „lufcik” w oknie i szepnął: „uciekajcie, żandarmeria”. Włosy zjeżyły mi się na głowie, ale nie tracąc czasu szybko chowaliśmy do kieszeń wszystkie kartki. Jeden z kolegów zmiął kartkę, włożył do ust i połknął. Wybiegliśmy zapasowymi drzwiami, które prowadziły przez mieszkanie sąsiadów - byli oni uprzedzeni o takiej ewentualności - i ukryliśmy się w zabudowaniach gospodarczych. Po około pół godziny, które nam wydawały się wiekiem nasz profesor wyszedł spokojnie, wzywając nas. Na szczęście okazało się, że Niemiec przyszedł zapytać o lekcje niemieckiego, których udzielał nasz profesor robotnikom. Muszę wyjaśnić, że nie nosiliśmy nigdy zeszytów i książek. Jeżeli były podręczniki rozdzielało się je na poszczególne kartki. Jedna kartka i cienki notatnik to wszystko co można było mieć przy sobie w specjalnie do tego celu uszytej kieszeni po wewnętrznej stronie płaszcza czy kurtki.

Wraz z najbliższą rodziną w trudnych warunkach materialnych, ale w zdrowiu i szczęśliwie przeżyliśmy okres okupacji. Lubię wspominać te czasy, czytać książki i oglądać filmy o tej tematyce. To przypomina dobre i złe chwile z tego okresu. Nie chwalebę się jednak nigdy przynależnością do Ruchu Oporu. Przecież wtedy nie myślało się o żadnych zasługach. Traktowałam tę pracę jako normalną sprawę, po prostu obowiązek nakazany chwilą. I nikt też nie myślał do jakiej formacji zostaje wciągnięty, jakie ma zapatrywania, to nie grało roli, walczyło się o wolność, o pokonanie najeźdźcy. Wspominam okupację w bardzo ścisłym gronie osób starszych, które niestety stale się zmniejsza.